

## Przedmowa

Nie była typową [...] babcią ozaróżowionych policzkach, która przygotowywała dla wnuczki apfelstrudel – powiedziała Hazel Karr, kiedy popijałam herbatę z prądem, podziwiając jej obrazy w atelier będącym jednocześnie mieszkaniem artystki. Byłam zdezorientowana. Nieznany jest mi taki obraz babci. Przecież babcia to najsilniejsza kobieta, pełna energii, wiecznie kucharząca i uśmiechnięta. Szarlotka? Na porządku dziennym. Ale nie u Ester. Nie, ona nosiła w sobie demony, ból, cierpienie, ugiwała się pod naporem niesprawiedliwych wymagań i oczekiwań ze strony ortodoksyjnego środowiska i najbliższej rodziny. Pisząc tę przedmowę w przeddzień 130. rocznicy jej urodzin, zastanawiam się, jak najlepiej opisać Ester Singer Kreitman, wciąż niezmiennie pragnąc wydobyć ją z nieszczęsnego cienia słynniejszych braci – pisarzy. Jak odpowiedzieć na pytanie: kim była Ester Kreitman?

## Literacki los Ester

Hinde Ester Singer Kreitman urodziła się w 1891 roku w Biłgoraju jako najstarsze dziecko chasydzkiego rabina Pinchasa Menachema Singera i jego żony Batszewy. Jej młodszy brat, późniejszy laureat Literackiej Nagrody Nobla, Izaak Baszewis Singer, przyjął imię matki jako pseudonim artystyczny. Fakt ten wskazuje, jak ważną rolę matka odgrywała w rodzinie Singerów. Pinchas Menachem nie zdał obowiązkowego egzaminu z rosyjskiego, co nie pozwoliło mu sprawować obowiązków rabina urzędowego. Pełnił funkcję rabina w Leoncinie, potem uczył w radzywińskiej jesziwie, aż wreszcie dostał posadę w Warszawie. Rodzina Singerów zamieszkała przy ulicy Krochmalnej.

W tym okresie Hinde Ester podejmowała już pierwsze literackie próby, jednak rękopisy zostały zniszczone tuż przed ślubem. Należała na to Batszewa podczas podróży do Berlina, aby nie narazić się na podejrzenie Ochrony o współpracę z wywrotowym ruchem rewolucyjnym. Z przymusu i chęci ucieczki z domu Ester zdecydowała się na zaaranżowane małżeństwo z Awromem Kreitmanem. Pobrali się w 1912 roku, a następnie zamieszkali w Antwerpii. Kiedy w 1914 roku niemiecka armia najechała miasto, Awrom i Ester uciekli z dzieckiem do Anglii. Nie ma wątpliwości, że małżeństwo było bardzo nieszczęśliwe. Maurice Carr, syn Kreitmanów, nazywał ojca szlemielem i tyranem. Ester kilkakrotnie odchodziła od Awroma, ponieważ rzadko pracował, podczas gdy ona haftowała bluzki i wykonywała inne nisko płatne prace, by zapewnić rodzinie byt. Przypłaciła to znacznym pogorszeniem i tak słabego już wzroku. Jednakże do rozwodu nie doszło i mieszkała z mężem w Londynie aż do śmierci w 1954 roku.

Kluczowymi wydarzeniami w życiu pisarki były jej wizyty w rodzimej Polsce. W 1926 roku spędziła wraz z synem kilka miesięcy w letnim domu brata Izraela Joszuy pod Warszawą. W 1929 roku wróciła do Warszawy sama i została tam na dziesięć miesięcy. W tym czasie przetłumaczyła na jidysz dwie książki: Opowieść wigilijną Charlesa Dickensa i Przewodnik inteligentnej kobiety po socjalizmie i kapitalizmie Bernarda Shawa. Obie zostały wydane w Warszawie. To po powrocie do ojczyzny zaczęła znów pisać, niewątpliwie zainspirowana spotkaniem z braćmi i ich ekscytującymi znajomymi z warszawskiego świata literackiego. Powieść *Der szejdim tanc* ukazała się nakładem wydawnictwa Ch. Brzozy w 1936 roku w Warszawie. Następnie wydawnictwo W. & G. Foyle wydało w 1944 roku w Londynie *Briliantn*, a w 1949 roku Narod Press w Londynie opublikował zbiór jej opowiadań *Jiches*.

Z życia Ester Singer Kreitman znanych jest zaledwie kilka udokumentowanych zdarzeń, reszta pozostaje zagadkowa i nieuchwytna. Mówiono, że cierpiała na zaburzenia osobowości i chorobę psychiczną. Choć w dziełach Kreitman pojawiają się elementy autobiograficzne, a opisane historie są osadzone w jej przeszłości i doświadczeniu, to jednak powieści te nie

mogą służyć za przewodnik po biografii pisarki. Głównym źródłem informacji wciąż pozostają wspomnienia jej bliskich, np. Oświecie, którego już nie ma Izraela Joszuy Singera (1946) czy Urząd mojego ojca Izaaka Baszewisa Singera (1956). Interesującą i mało znaną relacją o trudnym życiu pisarki są wspomnienia jej syna Maurice'a Carra zatytułowane *The Other Exile*. Książka ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa Fame Art.

W małżeństwie rodziców Ester, co warto podkreślić, to matka była osobą racjonalną, uczoną kobietą, nieszczęśliwą w roli tradycyjnej żydowskiej żony i matki. To ona podejmowała decyzje i doradzała mężowi rabinowi. Tym bardziej zatem zaskakuje fakt, że wpajała mu do głowy, iż dziewczynki stoją niżej w hierarchii społecznej niż chłopcy oraz że nie mają prawa do edukacji i niezależności. Należy dodać, że na pierwsze dwa lata życia Hinde Ester oddano do mamki. Doświadczenie to na zawsze odcisnęło piętno na jej psychice. Odtworzyła je w jednym ze swoich najlepszych i najbardziej poruszających opowiadań zatytułowanym *Nowy świat*, pochodzącym ze zbioru *Rodowód* (2016).

W przeciwieństwie do braci, Izraela i Izaaka, Ester nie otrzymała należytego wykształcenia. Jej frustracja i samotność znalazły odzwierciedlenie w relacjach z nimi. Pisarka wydaje się przepełniona wobec nich zazdrością, ale też podziwem, szczególnie w stosunku do starszego brata Izraela Joszuy Singera. Rodzina uznawała Ester za dziwną i nieprzewidywalną. W latach dwudziestych XX wieku w Londynie prawdopodobnie zdiagnozowano u niej epilepsję. Maurice Carr przypuszcza, że brak stabilności psychicznej Ester wynikał z odrzucenia jej przez matkę. Jednakże we wspomnieniach syna Kreitman jawi się jako kobieta pełna odwagi i determinacji, zdolna samodzielnie się bronić. Dowodem na to jest chociażby fakt, że mimo tylu przeciwności losu i wielu utrudnień Ester Kreitman pisała. Cytując Heather Valencię, autorkę angielskiego przekładu *Brylantów*: „Poznawszy dzieła Kreitman, pozostajemy z dwoma pytaniami: jak to możliwe, że tak utalentowana pisarka napisała tak niewiele? A następnie, po wnikliwszej refleksji na temat okoliczności jej życia: jak w ogóle zdołała napisać cokolwiek?”.

## Brylanty

Pisarskie rzemiosło Kreitman widoczne jest w opisach otoczenia, postaci, rytuałów typowych dla antwerpijskiego przemysłu brylantów, a także technicznych procesów związanych z obróbką gotowego diamentu. Kamienie te mają symboliczne znaczenie w powieści. Dla tych, w których życiu się pojawiły, stanowią miarę, punkt odniesienia również w kontekście wartości człowieka i relacji międzyludzkich.

Ramy czasowe i wiele opisanych scen czy bohaterów kojarzą się z doświadczeniami samej autorki od 1914 roku. Jednak w odróżnieniu od *Tańca demonów*, w *Brylantach* główny bohater jest mężczyzną, którego trudno darzyć sympatią. Postać Dwojry w *Tańcu demonów* wzbudza w czytelniku empatię i współczucie głównie ze względu na narrację prezentującą jej punkt widzenia.

Doświadczenie autorki związane z życiem w Antwerpii i Londynie oraz jej dar obserwacji pozwoliły na stworzenie żywego obrazu antwerpijskiej scenerii. Ester Kreitman świetnie ujęła zarówno atmosferę Londynu podczas I wojny światowej, jak i aspekty historyczne i polityczne tego okresu. Fakty historyczne przeplatają się z wydarzeniami z życia fikcyjnych bohaterów. W twórczości Kreitman daje się wyczuć szczególną sympatię, jaką autorka darzy swoje bohaterki. Jej największą śmiałość pisarską można zauważyć właśnie w sposobie kreowania postaci kobiecych. Na początku XX wieku wiele pisarek w Europie traktowało swoje teksty jako głos w dyskusji o prawach kobiet, o miłości nieskrępowanej aranżowanymi małżeństwami, antykoncepcji czy aborcji. Ester Kreitman porusza wszystkie te kwestie, dowodząc, że zasłużyła na miano jednej z pierwszych autorek feministycznych. Odnoszenie

się do tabu – kobiecej seksualności – nie było częstym zjawiskiem w literaturze jidysz. Powściągliwość w tym zakresie charakteryzowała zarówno męskie, jak i kobiece piśmiectwo. Wprawdzie Izaak Baszewicz Singer poruszył ten temat w *Szatanie w Goraju* (1935), jednak seksualność opisał tu z punktu widzenia mężczyzny – jako coś niebezpiecznego, mrocznego, zabarwionego szaleństwem. Ester natomiast maluje związki pełne pasji i pożądania z punktu widzenia kobiety, dowodząc, że to naturalny ludzki instynkt.

Według mnie najbardziej godne podziwu jest to, że żydowska pisarka odważyła się w tamtych czasach poruszyć temat prawa kobiety do kontroli nad swoim ciałem i do możliwości wyboru. W kwestii aborcji Ester nie prowadzi co prawda otwartej kampanii za jej legalizacją, ale z wyraźną sympatią podchodzi do swoich bohaterek, które stoją przed tym dylematem i świadomie pisze o fatalnych konsekwencjach ekonomicznych niechcianej ciąży, jakie czekają dziewczęta z klasy robotniczej, co nie znaczy, że pochwała taki wybór w przypadku pań z dobrego domu. Wyraźnie nie sympatyzuje z postępkami Jeanette i jej skoncentrowanym na dobrach materialnych życiu. Dzięki tym wątkom widzimy, że Kreitman odnotowuje zmiany obyczajowe.

Ester Kreitman jest dla mnie wyjątkową pisarką i ważną postacią, ponieważ to jej dzieła były pierwszymi, które ukazały się w wydawnictwie Fame Art, i to ona poniekąd utorowała wydawnictwu drogę. Była pierwszą kobietą, której historię chciałam opowiedzieć i po której dopiero przyszła kolej na Iłakowiczównę, Ginsburg, Loren, a w przyszłości kolejne... Cieszę się, że to właśnie teraz proza Kreitman powraca i że polski Czytelnik może się z nią zapoznać w chwili, kiedy w naszej własnej rzeczywistości zachodzą tak ogromne zmiany na gorsze, kiedy coś, co powinno być oczywistym prawem i przywilejem staje się nieoczywiste. Sięgając po *Brylanty* czy *Taniec demonów*, zagłębiając się w opisane tu wątki kobiece, nie sposób odgonić natarczywe myśli o tym, jakie to wszystko frustrująco aktualne...

Natalia Moskal

Od tłumaczy

Niniejszy przekład jest efektem akademickiej współpracy podjętej ze studentami kierunku historia i kultura Żydów na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego.

Odpowiedzi na rozliczne pytania dotyczące obróbki diamentów i jubilerstwa wspaniałomyślnie udzielili nam dr Tomasz Sobczak, Grzegorz Tryjefaczka i Paweł Wierzchowski.

W rozstrzygnięciu wątpliwości związanych z zagadnieniami języka i kultury flamandzkiej pomogli nam dr hab. Judyta Zbierska-Mościcka i dr Dariusz Dziurzyński oraz mieszkający w Belgii Hanne Deleu i Filip Donvil.

Doświadczeniem zdobytym podczas nauki w nowojorskiej jesziwie oraz wiedzą na temat żydowskiej obyczajowości i religii podzielił się z nami Abraham Hayman.

W tekście zastosowaliśmy uproszczoną, zgodną z fonetyką języka polskiego, transkrypcję słów i nazw własnych pochodzących z języków hebrajskiego i jidysz.

Monika Polit

Zofia Zięba

Jakub Zygmunt

Rozdział 1

Ludzie Gedaliasza Bermiana nie przyszli dziś do biura na Pelikaanstraat. Nikt nie przyniósł parcel\* wyrzniętych i oszlifowanych brylantów, nikt nie kierował prośbami uśmiechów w stronę lodowatej tafli drzwi, za którymi krył się długi, ciemny korytarz prowadzący ku „przybytkowi”\*\*. Biuro było zamknięte.

Również maszyny w domach przycinaczy diamentów\*\*\* stały głuche, przykryte jak trupy. Kobiety ochoczo zarzuciły je zasłonami lub fartuchami, by nie patrzeć na wionące zimnem przedmioty, które w dobrych czasach wysysały ostatnią kroplę krwi z ich mężów i synów, a w złych straszyły widmem głodu i nędzy.

– Że też musiało wypaść to święto. Potrzebne mi ono jak dziura w moście. – Berman, posarkując, kręcił się rozdrażniony po swoim mieszkaniu. Ilekroć w środku tygodnia wypadał dzień wolny, ogarniały go melancholia i gniew, z którymi nijak sobie nie umiał poradzić. Nie znosił świąt, zwłaszcza tych, które były mu obce.

Zwykle dzień rozpoczynał od tego, że Anka, służąca, przynosiła mu czerwone, tłustawe lekarstwo. Berman połykał je, po czym, oblizawszy się jak po kieliszku dobrego wina, pobożnie odmawiał modlitwę, przeciągał się, strzelał delikatnymi, śniadymi palcami i spoglądał w podłużne polerowane lustro na wyciągniętego jak struna przystojnego mężczyznę z rozczesaną bujną brodą, gęstymi, wypielęgowanymi wąsami i mądrymi czarnymi oczami, które śmiały się drwiąco, kłując jak sztylety.

Tymczasem Anka ze szczotką w ręku oczekiwała go w jasnym i przestronnym korytarzu, żeby z czarnego surduta z eleganckim, aksamitnym kołnierzem strzepnąć nieobecne paprochy. Po tym zabiegu pan ostatni raz rzucał okiem w lustro szafy, by następnie przejść przez szerokie, białe, polerowane drzwi, które służąca przytrzymała mu otwarte na oścież, i udać się wreszcie do pracy.

Berman przywykł do tego, że każdego dnia, gdy tylko otwierał drzwi biurowej poczekalni, natychmiast zrywały się jakieś dwa tuziny siedzących tam cmokierów, którzy uśmiechając się głupawo i przymilająco, na wyścigi wyrzaskiwali: „Dzień dobry”.

On zaś, jakkolwiek wiedział, że wszyscy ci ludzie nienawidzą go jak psa, najlepszą pracę powierzał zawsze tym, którzy potrafili się uśmiechać najszerzej.

– Biedaków nie stać na godność – mówił do siebie, czując w sercu żal, że chociaż nie znosi Galicjan, to przecież im właśnie oddaje najcenniejsze kamienie. Pewnie dlatego próbował się usprawiedliwiać: – Nie znoszę pyszałkowej nędzy!

Młasnawszy na słowie „nędzy”, zaczynał pęsetą jubilerską rozgarniać sterty świeżo dostarczonych diamentów.

Przerzucał kamień po kamieniu, a ludziom zamierały serca i na ich policzki wpełzał rumieniec. Potem oglądał każdy egzemplarz i jeśli nie znajdował w nim defektu – był właściwie wyrznięty i miał odpowiednią formę – umieszczał go na wadze, by sprawdzić, czy za bardzo nie stracił na masie\*\*\*\*, i w końcu odkładał na bok, czasem na jedną kupkę, innym zaś razem osobno, oddzielając go od pozostałych jak siebie od robotników. Na koniec owijał podobne do drobin soli kamienie w białe papierki zwane brywkami\*\*\*\*\*, dla zasady przypominał pracownikom, żeby uważali i nie szlifowali diamentów nadmiernie, gdyż to zmniejsza ich wagę, po czym wysyłał brywki w świat. Jego ludzie zbiegali się jak kury, którym gospodarz rzuca okruchy, ale Berman nie pozwalał im niczego samowolnie chwycić. Strzelał czarnym, śmiejącym się okiem i wykrzykiwał:

– Friedman!

Wezwany przybiegał tak szybko, że nieledwie lądował swym drobnym ciałem na biurku, podczas gdy pozostali cmokierzy czekali z zawieszonymi w powietrzu rękami na swoją kolej. Każdemu, który otrzymał brywkę, spadał kamień z serca.

– Chwała Bogu, udało się! – mówili zadowoleni, chociaż dobrze wiedzieli, że jutro albo pojutrze czeka ich znowu to samo. Cóż, zdążyli już do tego przywyknąć.

Pozbywszy się pracowników, kupiec, zacierając ręce z radości, przygotowywał się na przyjęcie ludzi, których już wcześniej wysłał z gotowym towarem, to jest z błyszczącymi brylantami.

Pojawiał się pierwszy makler, potem kolejny. Berman z każdym rozmawiał w cztery oczy, każdemu miał do powiedzenia co innego:

– Proszę usiąść, panie Rosenbaum! No, cóż słyhać?

Albo:

– No, udało się panu coś zdziałać? Nie? Znowu nic? Błagam pana, panie Chackielewicz, proszę nie zawracać mi głowy! Naprawdę? Co pan powie! Co to znaczy, że tymczasem nic?!

Berman lubił obserwować, jak makler przygotowuje się do długiej przemowy, która ma przekonać pryncypała, że jak zejdzie z ceny, towar na pewno się sprzeda. Gedaliasz patrzył, a jego śniady nos błyszczał, czarne oczy się uśmiechały, palce rozczesywały brodę. Kiedy nieudacznik zaklął się już na żonę, dziecko, na swoją brodę i pejsy, na samego Boga, Berman mu bezceremonialnie przerywał i znów wołał do siebie Rosenbauma.

– Mówi pan, że sprzedał? Świetnie! I że za dobrą cenę? Wspaniale. Ciekaw jestem... Słucham? To nazywa pan dobrą ceną?!

– Proszę posłuchać, panie Berman, jeśli to panu nie odpowiada, odbiorę towar. W końcu nikt go sobie z rąk nie wyrwał.

Na te słowa kupiec zaczynał się niepokoić, lecz skrywał niepewność w uśmiešku ocienionych wąsami czerwonych ust.

– Toż to niedorzeczne, panie Rosenbaum! Z moim towarem\*\*\*\*\* nie muszę się, broń Boże, o nic nikogo prosić – cedził i zaraz wkładał płaszcz, dając do zrozumienia, że musi iść na giełdę i nie ma czasu na czczą gadaninę... Rosenbaum towarzyszył pryncypałowi, po drodze, nie tyle słowem, ile ożywioną gestykulacją, przekonując go, że jeśli ten nie przystanie na zaproponowaną cenę, to już nigdy, ale to nigdy nie otrzyma tak dobrej oferty.

– Eee!... – machał ręką Gedaliasz.

Na giełdzie zaczynało się nowe targowanie.

– Panie Berman, może parcelkę blauweissów\*\*\*\*\*?

– Mam tu parę pięknych karatów, panie Berman. Takich pan jeszcze nie widział! To jest dopiero towar, co? A niech mnie!

– Panie Berman!

Berman nawet nie podnosił oczu. Siedział i rozgarniał pęsetą kamienie tak pochłonięty pracą, że zdałoby się, iż doba powinna mieć co najmniej dwadzieścia sześć godzin, by mógł się uporać z takimi stertami diamentów.

Tego dnia jednak wypadło święto – i to jeszcze jakie!

Flamandowie, jak co roku o tej porze, wyszli na ulice, żeby bawić się na wolnym powietrzu. Każde miasto, każda, nawet najbardziej zapadła wioska chciała uczcić Nationale feestdag van België\*\*\*\*\*, jednak to w Antwerpii obchody były najuroczystsze.

Mieszkańcy pobliskich wsi pojedynczo albo w gromadzie ciągnęli drogami i ścieżkami przez szerokie, nasłonecznione pola. Wystrojeni, weseli i uradowani szli po świeżo skoszonej trawie pod jasnym słońcem, mijając złote snopy zboża i jeszcze parujące stogi siana. Młodzi wkraczali do miasta tanecznym krokiem, a na wózkach kiwały się baby o ogorzałych i pomarszczonych twarzach. Z każdej zmarszczki wyzierał uśmiech.

W domach zostali tylko najstarsi i schorowani mieszkańcy miasta. Jeśli jakaś Flamandka spóźniła się z szorowaniem bruku przed wejściem, w pośpiechu tarła teraz ryżową szczotką mydliny, zamazyście wylewała ostatnie wiadra wody, przytupywała chodakami, które brodziły w kałuży niczym łódki, i pół godziny później wystrojona stawała na ulicy, świętując uroczysty dzień.

W kawiarnianych ogródkach siedzieli czerwonolicy, krótkonodzy ludzie w średnim wieku i starsi. Na wiklinowych krzesłach, przy pomalowanych na zielono stołach miło spędzali czas nad kuflem pianistego piwa. Natchnieni przez hałaśliwą młodzież śpiewali popularną flamandzką pieśń:

U-la-la!

W Parku Słowika

U-la-la!\*\*\*\*\*

Od widoku kolorowo odzianych dziewcząt aż kręciło się w głowie. Młódki zręcznie wabiły chłopców perlismym śmiechem, znad dołeczków w policzkach rzucając figlarne spojrzenia. Kawalerka zaś tańczyła, grała na harmonijkach, wałęsała się między przystrojonymi automobilami, co chwila obłapiając i całując coraz to inne dziewczyny. Na wietrze trzepotały czerwono-żółto-czarne sztandary.

Tego dnia zamknięte były nawet giełda diamentów i klub, toteż bogaci żydowscy handlarze wyjechali kurować się za granicę, a klasa średnia ruszyła do Spa. Tylko drobni kupcy i maklerzy handlujący diamentowym pyłem\*\*\*\*\* i symilkami\*\*\*\*\* zostali w mieście, by pomóc przy organizacji święta.

Jednego Berman nie znosił w tym dniu szczególnie: ulicznych śpiewów, które przypominały brzęczenie natrętniej muchy. Kiedy zatykał uszy, tępe buczenie jeszcze bardziej szarpało mu nerwy. Chodził więc tam i z powrotem po tłumiącym kroki ciemnoniebieskim dywanie i milczał, lecz jego pomarszczona twarz mówiła wszystko. Nagle zatrzymał się i zaczął się przyglądać meblom, jakby zobaczył je po raz pierwszy. Ciężkie srebra na dębowym kredensie donośnie śmiały mu się prosto w twarz, zegar w kącie tykał cicho i regularnie, obite skórą krzesła stały w sztywnym bezruchu wokół masywnego stołu. Smużka kurzu, którą w tak wysprzątanym miejscu widać jedynie w bardzo jasny, słoneczny dzień, ciągnęła się od okna do lustra wiszącego nad białym marmurowym kominkiem. Wnętrze wyglądało dostatnio, godnie, elegancko i czysto.

„Biada mi! Straciłem na tego niegodziwca tyle pieniędzy! Dlaczego pozwoliłem mu na nauki?! Miał skończyć szkołę, a co z tego wyszło? Wstyd! Skażeni synowie\*\*\*\*\*! Dlaczego im na to pozwoliłem, miast dać im szesnając, gdy byli mali!”, pomstując, Berman najwyraźniej zapomniał, że tylko jeden z synów, Dawid, tak mu się nie udał. „Giełda! Wprowadzę go tam, poznam z kupcami, zacznę handlować, zdobędzie pozycję, a po tym wszystkim się bogato ożeni. Bo i czemuż by nie? Jest przecież i przystojny, i dobrze

wykształcony. W dzisiejszych czasach wydać się za Bermana to nie byle co! No, a gdyby wziął dobry posag, moglibyśmy handlować razem, rozwinąć interes. Młodym nie można powierzać wielkich bogactw”.

Gedaliasz uśmiechnął się szeroko i aż rozpostarł ręce, żeby odmierzyć, jak wielki byłby ów posag.

Kupowaliby najlepszy towar, trafiałyby do nich najokazalsze, najgrubsze kamienie. Najznamienitsi kupcy poczytywaliby sobie za zaszczyt możliwość obejrzenia u nich parcelki blauweissów. Z pomniejszych Bermanowie nie robiliby interesów...

Nagle zdał sobie sprawę, że to li tylko mrzonki. Natychmiast zatrzymał się i spochmurniał, zawstydzony się sam przed sobą. Dlaczego daje się ponieść wyobraźni? Nic nieznaczącym ułudom?

„Wydiedziczyć łajdaka! Wypędzę jak psa! Won!”.

Myśl o przepędzeniu syna nieco go uspokoiła. Znow chodził w tę i we w tę, pilnując się, żeby nie wpaść w złość, która tak bardzo go męczyła i wycieńczała.

„Biada mi!”.

\* Parcela brylantów – w żargonie diamenciarzy: porcja kilku lub kilkunastu brylantów o określonej łącznej masie mierzonej w karatach.

\*\* Nawiązanie do biblijnego Przybytku (hebr. Kodesz Kodashim) – miejsca w Namiocie Spotkania, a potem w Świątyni, gdzie przechowywano Arkę Przymierza.

\*\*\* Przycinanie – jeden ze środkowych etapów obróbki diamentów polegający na przycinaniu i rżnięciu już wyłupanej bryły diamentowej do pożądanego kształtu i wielkości; ma ono również na celu pozbycie się skaz i inkluzji w kryształach, tak aby otrzymać jak najczystszy kamień.

\*\*\*\* Określenie z żargonu diamenciarzy. Na etapie szlifowania nadaje się kształt fasetom (w klasycznym szlifie brylantowym wyprowadza się ich pięćdziesiąt siedem), formując brylant o wyraźnej podstawie, rondyście, koronie i tafli. Jeśli którąś z faset się przeszlifuje, trzeba dopasować kształtem wszystkie pozostałe, żeby wrócić do odpowiednich proporcji. To powoduje zmniejszanie się masy (mierzonej w karatach) finalnego produktu.

\*\*\*\*\* Brywka – papier, w który zawija się brylanty lub parcele brylantów, od wewnętrznej strony niebieski, a z wierzchu biały, tak aby podkreślał blask kamieni. Handlarz diamentów trzyma brywki w skórzanej saszetce nazywanej kaszetką (fr. cachet).

\*\*\*\*\* Towar, surowy towar, brut – nieoszlifowane do postaci brylantów diamenty; surowe, nieoszlifowane kamienie.

\*\*\*\*\* Blauweiss (niem.; ang. blue white) – brylanty najwyższej jakości, krystalicznie czyste (najczystszej bieli). Oryginalne niebieskie diamenty pochodziły z południowoafrykańskiej kopalni Jagersfontein i były bardzo przezroczyste (jasne i bezbarwne) z niebieskawym odcieniem.

\*\*\*\*\* Belgijskie Święto Narodowe (flam. Nationale feestdag van België; fr. Fête nationale belge; niem. Belgischer Nationalfeiertag) – święto obchodzone corocznie 21 lipca. Jedno z dziesięciu świąt państwowych w Belgii, przypadające w rocznicę koronacji króla Leopolda I, pierwszego monarchy kraju.

\*\*\*\*\* Fragment piosenki nawiązującej do antwerpijskiego Nachtegalenpark (czyli Parku Słowika), ulubionego miejsca schadzek młodych par.

\*\*\*\*\* Diamentowy pył – kamienie o bardzo małej masie, mające konsystencję pyłu; pył diamentowy jest używany również w obróbce diamentów na etapie szlifowania i polerowania.

\*\*\*\*\* Symilki – używane w jubilerstwie zamienniki drobnych cyrkonii, o blasku porównywalnym do kryształu, lecz uzyskiwanym w odmienny sposób (symilka to szkło podklejone lustrzaną folią); inny jest też sposób montażu – cyrkonie się zakuwa, symilki natomiast wkleja.

\*\*\*\*\* Nawiązanie do Iz 1,4 (wszystkie cytaty biblijne pochodzą z Biblii Gdańskiej, <http://biblia-online.pl/Biblia/Gdanska>, dostęp: 9.01.2021).

## Rozdział 2

Pukanie do drzwi wyrwało Bermiana z głębokiej zadumy. Wyrównał krzesła przy stole, chociaż stały jak pod sznurek, poprawił na głowie jedwabną jarmułkę, przeczesał palcami brodę i zawołał po francusku:

– Entrez!\*

Do środka wszedł okrągły Żydek z ciemną, wypielęgowaną bródką, która na jego kredowobiałej twarzy przybierała smolisty odcień.

– Ach, pan Shapiro, jaka miła niespodzianka! – gospodarz podsunął przybyszowi ciężkie skórzane krzesło, a sam zasiadł u szczytu stołu. – Co słyszą? Jak interesy? Dobrze pana widzieć!

Shapiro usiadł, wyjął okulary, przetarł je kawałkiem żółtej irchy i odsuwając je od siebie, pilnie sprawdził, czy są wystarczająco czyste. Następnie białą, pulchną rączką nałożył je na nos, a jego wszędobyłskie oczka dostrzegły, że Berman jest nie w humorze.

„Aha, musiał znów mieć sprzeczkę z synalkiem. Myśli, że nikt o tym nie wie. Trzeba przekazać mu wieści. Niech się ma z pyszna”.

Gość poprawił okulary, dociskając ich aksamitny nosek, i czekał, aż gospodarz zacznie.

– No, co słyszą, panie Shapiro?

– So. Danke schön\*\*. Żyje się, Bogu dzięki! A co słyszą u pana, panie Berman? Udało się zrobić jakiś interes?

Gedaliasz przenikliwie spojrział na rozmówcę i lekko westchnął.

– Niestety, żadnego interesu nie zrobiłem! Wszyscy się rozjechali, tak że nie można pracować. Biada mi. Niech diabli wezmą to całe ich święto.

– Moje słowa! – zgodził się Shapiro, po czym z szelmowskim uśmiechem przeszedł do rzeczy: – Słyszał pan już najnowsze wieści, panie Berman?

– Wieści? Nie, o niczym nie wiem!

– Nie słyszał pan, że Zweigenbaum wyswatał syna?

Berman delikatnie zadrżał i pobladł. Zadowolony Shapiro spoglądał na niego znad okularów.

– Z córką Liebermana? – Gospodarz z tego wszystkiego zapomniał, że rozmawiali po niemiecku.

– Ja. Mówią, że panna młoda wnosi aż pół miliona franków posagu – odrzekł Shapiro, lecz zaraz dodał pocieszająco: – Ja w to jednak nie wierzę...

Berman nic nie odpowiedział. Pomyślał tylko, że gdyby w tym momencie pojawił się Dawid, udusiłby go gołymi rękami, połamałby mu ręce i nogi. Wzburzony zaczął ciągnąć frędzle czerwonego pluszowego obrusa, a potem stukać wskazującym palcem w stół. Obrus tłumiał stukanie, dlatego Gedaliasz znów chwycił za frędzle.

– So, so! To się nazywa szczęście! Zweigenbaum nie będzie już musiał się martwić o pieniądze na parcelę. He, he, he – zaśmiał się dźwięcznie Shapiro.

Gospodarza mocno ukłuł ten śmiech. Dzwonił mu w uszach i tak go denerwował, że miałby ochotę zrzucić pękatego łajdaka ze schodów.

– Mówią, że ta narzeczona... – Berman chciał powiedzieć, że panna ma defekt, ale rozmówca nie pozwolił mu dojść do słowa.

– Ach, czegoż to ludzie nie mówią... Zazdroszczą, to gadają! Zawsze to samo.

Gedaliasz poczuł, że jeszcze chwila, a nie zdierży i popełni głupstwo. Starając się opanować narastający gniew, który odczuwał teraz bardziej wobec Shapiry niż wobec Dawida, zawołał żonę:

– Rozo, czy dostaniemy coś do jedzenia?

Żona, którą Berman zwał Rozą tylko przy ważnych gościach, a która naprawdę miała na imię Rachela, zrzuciła z siebie fartuch, zmniejszyła płomień w piecu gazowym, w którym piekła jakieś pół cielejcej tuszy, i zarumieniona wkroczyła do jadalni.

– Naszej gojki nie ma, do diabła z tym ich świętem! – wyjaśniła Shapirze, dlaczego sama podaje do stołu.

Gość, jako człowiek grzeczny, wstał i dygnął zabawnie:

– Guten Tag, madame Berman!

– Gut morgn, agut jor! – w pomieszeniu Rachela odpowiedziała prostym jidysz. Przysiadła się do stołu, pogładziła po odświętnej peruce w loczki i nie wiedziała, co ze sobą począć. Zauważyła, że mąż aż dyszy z gniewu, którego tak bardzo się obawiała, i jej serce zadrżało. Po cichu zmówiła modlitwę, prosząc Wszechmogącego, by małżonek powstrzymał się przynajmniej do chwili, gdy Shapiro sobie pójdzie, i broń Boże nie zwymyślał jej w obecności gościa.

– Proszę się częstować, panie Shapiro!

– Ach, nie trzeba się było kłopotać – odrzekł tamten i czarnymi, rozbieganymi oczkami wypatrzył najdorodniejszą kiść ciemnych, soczystych winogron. Potem skubiąc je, opowiedział Bermanowej o swatach.

Rachela zbladła, spojrzała na męża i dosłownie zamarła. Shapiro świdrował Bermana spojrzeniem. Ciemne tęczówki gościa nadawały jego białkom niebieskawy odcień. Tymczasem Gedaliasz siedział nieruchomo z potężną oliwkową ręką zaciśniętą na szyi, patrząc przed siebie szeroko otwartymi oczami. Gęste, czarne brwi dowodziły niezbitcie, że jest człowiekiem, który zdołał ujarzmić w sobie niezwykłą energię.

Wreszcie gość się podniósł:

– Also, proszę nie zapominać, panie Berman, że mam nowy towar!

To otrzeźwiło gospodarza, który wstał i próbując się nawet uśmiechnąć, spytał Shapirę, czemu się tak spieszy. W duchu wszakże pomyślał, że sprawiedliwości stałoby się zadość, gdyby ten węgierski łajdak połamiał po drodze ręce i nogi.

Przypomniawszy sobie bezczelne zachowanie rozmówcy, wieści o swatach, ukłucie zazdrości, upokorzenie samym sobą i swoją słabością, którą tyle razy okazał w obecności przybysza, oraz satysfakcję tamtego, Berman zapragnął wyładować na kimś złość i począł szukać wzrokiem Racheli. Ona tymczasem odprowadziła Shapirę po schodach, wyszła z domu i wpadła do sklepu naprzeciwko, by nakupić rzeczy, których zupełnie nie potrzebowała. Wiedząc jednak, że i tak dojdzie do awantury, zebrała się w końcu na odwagę, jak kot wślizgnęła się do korytarza i z walącym sercem spojrzała przez dziurkę od klucza. Tak szczęśliwego obrotu spraw się nie spodziewała: jej mąż siedział przy stole i złożywszy dłonie pod brodą, chrapał.

– Chwała Bogu! – Uspokojona weszła do kuchni i otworzyła ciężkie, żelazne drzwiczki pieca.

Kiedy w nozdrza uderzył ją żar wymieszany ze smakowitym zapachem mięsa, jej twarz się rozplomieniła. Pieczeń przypaliła się tylko z jednej strony, reszta wyglądała soczyście i apetycznie. „Niektórzy ludzie mają pociechę z dzieci”, pomyślała Rachela, po czym przetarła talerze i przygotowała obiad, podejrzewając, że mąż wkrótce się ocknie (a jeśli nie, to sama go zbudzi). „Po co sobie zawracać głowę taką niedorzecznością? Nasz Dawid miałby się ożenić z taką szkaradą? Dawidek?! Przecież to złoty chłopiec, a tamta ponoć kaleka. Ten węgierski kobieciarz tylko dolewa oliwy do ognia. Dla niego to bez różnicy: stara czy młoda. Stara? No tak, przecież zdarzają się tutaj i takie panny! A niech mnie!”.

Nagle w korytarzu rozległy się słowa piosenki.

U-la-la!

W Parku Słowika

U-la-la!

Córka Bermanów przesadziła trzy stopnie schodów.

– Szalona! Jeszcze obudzi ojca! – westchnęła matka.

Rachela wołała, żeby mąż jeszcze pospał, jednak Jeanette rzeczywiście przerwała drzemkę Bermana. Kupiec podniósł się, głośno ziewnął, podrapał się po zdrętwiałej prawej nodze, przeciągnął i po chwili stanął nieruchomo w progu kuchni. Trwał tak kilka minut w całej swej okazałości, aż wreszcie ruszył, umył ręce i twarz, wytarł się szeroką, białą ścierką i spojrzał w lustro nad zlewem. Rachela, która śledziła każdy jego krok, spytała, ryzykując życie:

– Będziesz jadł, Gedaliaszu?

Mąż nie odpowiedział, co oznaczało, że można już nakrywać do stołu.

– Jeanette, bądź tak miła i skocz do jadalni. W trzeciej szufladzie leżą widelce i łyżki.

Dziewczynka skrzywiła się i zadumała, po czym wysoko podkasawszy sukienkę, w podskokach ruszyła do jadalni.

Niedługo potem kuchnię wypełnił brzęk srebra wymieszany z donośnym dziewczęcym śmiechem. Rachela z westchnieniem schyliła się po rozsypane na podłodze sztućce, podczas gdy Jeanette, zaśmiewając się, opadła na wysiedziane, obite lnem kuchenne krzesło.

W końcu cała trójka zasiadła do stołu i w milczeniu spożyła obiad. Przez cały posiłek żadne z nich nie odezwało się ani słowem – nawet Jeanette, która wiedziała, że papa nie znosi, gdy rozmawia się przy jedzeniu. „Ejn Meszjechn besude”\*\*\* – zwykł mawiać.

Po obiedzie dziewczynka wstała, podeszła do ojca i ujęła w małe, oliwkowe rączki jego owalną głowę. Delikatne ciepło dziecięcych dłoni sprawiło Bermanowi taką przyjemność, że aż zadrżał. Jeanette ucałowała mu brodę, policzki i wąsy, po czym zapytała:

– Tatusiu, nie będziesz się gniewał, jeśli mama pójdzie ze mną na Keyserlei? Zaraz znowu wychodzę, niech mama też pójdzie. Sam również mógłbyś wyjść. Dziś nawet najpobożniejsi chasydzi wylegli na ulice i mrugają do chrześcijanek. Musisz to zobaczyć!

– Kto by się spodziewał, że wyrośnie z niej taki gagatek! Sama już nie wie, co mówi. Najpobożniejsi chasydzi mrugają do chrześcijanek! To nie mogą być prawdziwi chasydzi.

– A co ona tam wie? Dla niej każdy brodaty to chasyd! – rzuciła Rachela.

– No to jak to w końcu jest z tymi twoimi chasydami, co? – mimochodem zapytał Berman.

– Sama widzisz, mamó, mówiłam ci, że tata pozwoli. On przecież jest taki dobry – Jeanette spjrzała na ojca, jak zwykła patrzeć na chłopców.

– Co powiesz, czy powinnam iść, Gedaliaszu?

– Do diabła z tym twoim świętem!

Rachela uznała, że mąż się zgodził.

Jeanette dosłownie sfrunęła po schodach, matka zaś, trzymając się poręczy, powoli i z trudem podążyła za nią. Po drodze spjrzała w lustro na szafie i stare serce zabiło jej szybciej na myśl o węgierskim kobieciarzu.

Wychodząc z domu, Rachela i Jeanette natknęły się w drzwiach na dwunastoletniego Jacques’a, najmłodszego w rodzinie.

– Jacques, zjedz w kuchni, słyszysz? Bądź cicho i nie pokazuj się tacie, jest rozdrażniony. Na miłość boską, cicho. Słyszysz?

– Słyszę, słyszę! – Sadząc zajęcze susy, chłopak wbiegł po schodach.

Na ulicy Keyserlei było gwarno i przy kawiarnianych stolikach nie dało się znaleźć ani jednego wolnego miejsca. W powietrzu unosił się zapach wieprzowiny, piwa i pieczonych ziemniaków, z nieba zaś lał się żar, toteż w ciągu tych kilku godzin odsłonięte dekolty i torsy zdążyły już poczerwienić. Ludzie wlewali do spragnionych gardeł morze piwa, młodzieńcy śpiewali nieprzyzwoite pieśni, panny rzucały się im w ramiona. Tańczono na chodnikach, na środku ulicy. Starcy stukali opróżnionymi kuflami o blaszane tace i podchmieleni śpiewali ochryple razem z innymi.

U-la-la!

Trzeźwe, wystrojone Żydówki w odświętnych perukach bawiły się z ludem, podśmiewając się z pijanych, a żydowscy chłopcy i dziewczęta spacerowali objęci, nie zważając na surowe spojrzenia miejscowych bogaczek. Ani trochę nie bali się, że matrony wezmą ich na języki.

Rachela co chwila zatrzymywała się, widząc znajome panie.

– No i co pani powie o mariażu tego, z przeproszeniem, żebraka?! Syn Zweigenbauma z córką Liebermana! Czegoś takiego jeszcze nie było! To dopiero para!

Kobiety popsuły dzień Bermanowej, która znów zaczęła myśleć o swoim Dawidzie. To przecież z jego powodu wyszła z domu. Gdyby nie on, położyłaby się do łóżka. Już pół tygodnia, odkąd go nie ma. Gdzież ona go nie szukała? Dziecko nie wraca od trzech dni. Bóg jeden wie, co mu się stało. A w domu jest gorzej niż w piekle.

– Ja, pani Berman, takiego szczęścia nie powstydziliby się człowiek czcigodniejszy od Zweigenbauma.

– Ja, ja, potrzeba nam szczęścia, tylko szczęścia! – wywodziły matki dorosłych synów. Potrzęsały przy tym loczkami peruk, zapominając o święcie i o tym, co się działo dokoła. Tymczasem pijani młodzi goje szturchali je, popychali i rozpędzali jak stadko kur.

Jakiś grubiański młodzieniec chwycił Rachelę i pocałował ją prosto w usta. Z przerażenia o mało się nie przewróciła.

– Tfu, tfu! – próbowała pozbyć się z warg odoru piwa i wieprzowiny, lecz w tym samym momencie wzdrygnęła się zaskoczona, ponieważ nie wiedzieć czemu akurat teraz na myśl przyszedł jej ten węgierski łajdak Shapiro.

\*Entrez (fr.) – Proszę wejść.

\*\*So. Danke schön (niem.) – A, dziękuję.

\*\*\* Ejn Meszjechn besude (jid.) – Mesjasza nie ma [podczas uczty] (Szulchan Aruch, Orach Chajim 170:1). Cytowany fragment odnosi się do zakazu rozmowy w trakcie posiłku, ponieważ grozi to zadławieniem; jednakże zgodnie z literą prawa żydowskiego wolno mówić między poszczególnymi daniami, a nawet należy w tych momentach dyskutować o Torze.